Rok I. Nr. 3. Kraków, 1. listopada 1919 r. Cena egz. 2 K. (mr. 1·40)

ŻYCIE I POWIEŚĆ

DWUTYGODNIK POWSZECHNY

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową wynosi: kwartalnie K. 12·— (mrk. 8·—), półrocznie K. 24·— (mrk. 16·—), rocznie K. 48·— (mrk. 32·—).

Adres Redakcyi i Admin. „Życia i Powieści": Kraków, Czysta 19. Ogłoszenia do „Życia i Powieści" przyjmuje wyłącznie Biuro wydawnictw i ogłoszeń „Krakus" Kraków, ul. Felicyanek 3.



W dzień zaduszny...!

(do tekstu na str. 2-ej).

W dzień zaduszny.

Pierwsze zaduszki w niepodległej, zjednoczonej Polsce... Żywi spieszą umarłym zanieść dobrą wieść, że rozpaliła się zorza wolności, że Polak już w własnym domu — gospodarzem...

Na grobach powstańców, jak co roku, płoną światła, rozbrzmiewają śpiewy patryotyczne, — ale już nie przystoją pieśni niewoli, skargi rozpaczy — jeno chorał tryumfalny:

„Leć nasz orle w górnym pędzie,
Polsce sławie, światu służ!"...

Przyszli żywi do umarłych... Rozgorzało morze świateł wśród powodzi, bezwonnych chryzantem i nieśmiertelników...

A w górze, wśród mgieł, co się rozsnuły nad cmentarzem — płyną widmowe postacie... sercu drogie... znane z ostatnich dni.

Wytężcie słuch, może zadźwięczą szable, może się ozwie dźwięk trąbki obozowej, zatętnią kopyta koni ułańskich...

Płyną tam górą bohaterowie i ci z pod Grochowa, i ci z pod Rokitny, i ci z przełęczy karpackich...

Polegli, szukając drogi do wolnej Polski, oto z ich krwi w obronie Ojczyzny przelanej, wykwitł czarowny swobody kwiat...

Ten dzień zaduszny, to nie dzień smutku ani żałoby — ale dzień wielkiej radości, święto Zjednoczenia tych, co jeszcze są i tych, co już odeszli...

Żywi spieszą do umarłych... Umarli do żywych...

Otwarcie uniwersytetu wileńskiego.

Doniosłość uroczystości wileńskich narzucała się wszystkim z góry, świadczyła o tem ta masa gości ze wszystkich okolic Rzeczypospolitej, jaka zjechała do Wilna na otwarcie uniwersytetu im. Stefana Batorego.

Pięknym wstępem do uroczystości były piątkowe nieszpory w kaplicy ostrobramskiej.

Sama inauguracya odbyła się nazajutrz w sobotę dn. 11 października i zawierała wiele momentów, które niezatarte pozostawiły wspomnienia u wszystkich, którzy mieli szczęście wziąć w niej udział.

Piękne i potężne były słowa, któremi przemówił do zebranych w katedrze jeden z najświetniejszych kaznodziei naszych ks. arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa.

Po nabożeństwie rozwinął się pochód, w którym wzięły udział tłumy publiczności, wojsko, duchowieństwo i ciało profesorskie, przybrane w togi z rektorami w gronostajach na czele.

Akt otwarcia nastąpił w przepięknej sali kolumnowej, która dla wszystkich nas tem jest droższą, że przed stu laty w niej właśnie Adam Mickiewicz dyplom swój otrzymał. Naczelnik Państwa krótkie swe przemówienie wygłosił urywanemi zdaniami, brzmiącemi, jak komenda wojskowa, z lekkim „litewskim" akcentem, który tu właśnie robił sympatyczne wrażenie, zwracając się do zebranych słowami: „Moi panowie!" Odpowiedział na tę mowę świeżo mianowany rektor prof. Michał Siedlecki z Krakowa. Naczelnik Państwa położył podpis swój pod aktem, zabrzmiały dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła" i łzy wzruszenia zabłysły w oczach zebranych.

Dalszy ciąg uroczystości odbył się w obszernej sali Śniadeckich, przerobionej z kaplicy prawosławnej, służącej na użytek gimnazyum rosyjskiego, które się w murach uniwersyteckich mieściło za ostatnich lat rosyjskiego panowania. Przemawiał cały szereg mówców. Największe wrażenie wywarli marszałek Sejmu, p. Trąmpczyński, rektor uniwersytetu lwowskiego, Halban, przedstawiciel kolegium uniwersyteckiego w Kijowie, Franc. Potocki.

Widmo.

Niekiedy matka moja przychodzi z mogiły;
Staje skromnie przy ścianie milcząca i blada,
Między dwiema świecami, co przy trumnie lśniły,
Gęsty cyprys oparcie plecom jej podkłada.

Chwilę śledzi spojrzeniem, gdzie jestem, co robię,
Po chwili z zamyśleniem przymyka powieki
Cmentarny krzew przepada, gromnice też obie
Gasną zwolna i tracą ceglaste wypieki.

Woskowe kije bledną, wsiąkają w tło ściany —
Nieboszczka się wypręża przeraźliwym giestem,
Blade wargi rozchyla jakiś żal wezbrany —
Coś chce mówić i nagle: — sam jestem, sam jestem!

Ludwik Eminowicz.

Święto Zjednoczenia armii.

Kraków przeżył podniosłą, radosną chwilę... W starodawnych murach swoich przyjął Naczelnika Państwa, przybywającego w otoczeniu świty generałów i oficerów... Na rynku krakowskim, na tym samym rynku, gdzie ongiś przysięgał Kościuszko. że mieczem wypędzi „z Polski trzech mocarzów" — odbyła się defilada zjednoczonej armii polskiej, poprzedzona Mszą św. polową, odprawioną przez J. E. Biskupa Galla i błogosławieństwem udzielonem przez Prymasa Naczelnikowi Państwa. Jak ptaki z dalekich krajów do własnych wracające gniazd — tak skupiły się rozproszone oddziały żołnierzy polskich... Legioniści, bohaterowie z pod Konar, Łowczówka, Żywopłotów i ci z „żelaznej brygady"...

Hallerczycy, Poznańczycy—wszyscy oni przesuwali się w karnych doskonale zestrojonych szeregach przed oczyma Naczelnika, generałów, przedstawicieli władz cywilnych i szerokich mas publiczności, która z entuzyazmem bijąc oklaski, wołała:

— Niech żyje Naczelnik!

— Niech żyje generał Haller!

— Niech żyje armia polska!

Przybyły delegacye z krajów plebiscytowych: z Śląska Górnego, z Śląska Cieszyńskiego, z Orawy i Spiszu... Mieszkańcy kresów krzepili swoją wiarę i moc narodową, widokiem tych dzielnych wojaków, którzy stanowią Polski wobec wrogów nadzieję, obronę.

Olbrzymi lot Paryż-Australia

już się rozpoczął.

Lotnik Poulet w drodze do Melbourn — Konkurencya czterech lotników angielskich — Wielkie zawody lotnicze: Nagroda 300.000 franków.

Słynny awiator francuski Poulet już wyfrunął z Paryża na swym aparacie i z Issy-les-Moulineaux rozpoczął swój słynny lot do Melburn w Australii. Użył on do tej niezwykłej jazdy biplanu dwumotorowego. Poulet wzniósł się około godziny 11 przed południem, a przelatując ponad Saint-Rambert-d'Albon rzucił z góry bukiet kwiatów z napisem na wstążce: „Memu przyjacielowi Juliuszowi Vedrines". Jak wiadomo, lotnik Vedrines pierwszy planował ten lot ku Australii i padł ofiarą wypadku, podczas raid'u Paryż—Rzym. Poulet jest więc niejako spadkobiercą idei zwycięskiego lotu aż do Australii po zmarłym tragicznie koledze.

Równocześnie lot konkurencyjny rozpoczęło czteru lotników angielskich. Między innymi kapitan Howell ruszył z Anglii do Australii, 27-go zaś października rozpocznie swój wzlot porucznik Donglas, na aparacie mogącym przebyć przestrzeń 3.000 mil angielskich, posiadającym zarazem stacyę radiotelegraficzną.

Nagroda dla zwycięzcy jest niemała. 300.000 franków zdobędzie nieustraszony „pogromca powietrza i przestrzeni".

M. STEVENSON.

Sobowtór Alicyi.

Powieść z życia amerykańskiego.

3 (Dalszy ciąg).

ROZDZIAŁ II.

Jednak panował nad sobą o tyle, że siedział spokojnie uśmiechnięty i rozmawiał wesoło... Wiedział, że uczynić tak musi... Nie wolno, by dostrzeżono w nim zmianę!...

Śmiał się, żartował, udawał swobodnego, zupełnie zadowolonego z sytuacyi człowieka, choć myśli wirowały mu zawrotnym tańcem w mózgu... A kiedy wreszcie po zjedzeniu śniadania wstali i szli przez salę, ścigani dziesiątkami spojrzeń, dojrzała w nim decyzya czynu. Postanowił działać... Ale jak?...

W drodze powrotnej do domu młoda para rozmawiała niewiele. Kiedy samochód zatrzymał się przed domem Jamesa Irvinga, Alicya zapytała młodzieńca, czy wstąpi jeszcze na chwilę na górę.

— Czy chcesz, abym wstąpił? — rzekł. —Zdawało mi się, że jesteś bardzo zmęczona. Jeżeli jednak życzysz sobie...

— Tak, jestem trochę zmęczona — przerwała mu — i nie będę cię długo zatrzymywała, ale... chcę ci coś powiedzieć i to zaraz — im prędzej, tem lepiej... Proszę cię, chodź!...

W mieszkaniu zrzuciła swoją lekką koronkową zarzutkę, zdjęła kapelusz i rękawiczki, poczem rozwinęła portyery, aby zajrzeć do sąsiedniego pokoju.

— Niema tam nikogo — rzekła z widocznem zadowoleniem i siadła w obitym brokatem fotelu.

Reginald zrobił w duchu uwagę, że to, co piękna panna ma powiedzieć, musi zawierać coś ważnego, bo zdaje się jej to przychodzić z trudem.

Po chwili namysłu Alicya wstała, szybkimi krokami podeszła ku młodzieńcowi i przystanęła tuż przed nim.

Grey z uśmiechem popatrzył w poważnie zadumane oczy.

— Moja królowa powzięła jakieś uroczyste postanowienie... Z najwyższem naprężeniem ciekawości czekam na...

Regie!... proszę cię nie gniewaj się na mnie za to, co ci powiem... Regie, prosiłeś mnie wczoraj wieczorem, aby zaręczyny nasze zostały oficyalnie ogłoszone — i ja nie dałam ci decydujące odpowiedzi... Ale teraz proszę cię, abyśmy to odwlekli jeszcze na czas jakiś... Nie chciej mnie źle rozumieć!... W samej istocie rzeczy nie zaszła żadna zmiana... to tylko okoliczności zmieniły się...

Ja — — ja, nie chciałabym cię stracić... tak bardzo mi potrzeba twej dobroci i przyjaźni — więcej, niż kiedykolwiek... Ale nie możemy teraz publicznie ogłaszać naszych zaręczyn, ja nie mogę zostać twoją żoną — dopóki ta cała tajemnicza sprawa nie wyjaśni się... Dopóki nie stanie się zrozumiałą, historya tych trzech tygodni, kiedy to uprowadzono mnie , odurzono, a następnie trzymano w więzieniu, nie czyniąc mi żadnej krzywdy... Przez cały ten czas nie widziałam ani twarzy mych stróżów więziennych... Drogi przyjacielu, wiesz przecie, jak chętnie ludzie słuchają plotek, jak każda pogłoska bywa sztucznie wydęta i komentowana... Należysz Reginaldzie do starej znanej rodziny... Ja także mam swoją dumę... Dopóki cień osłania pewien moment mego życia... dopóki ciąży nade mną niewyjaśniona tajemnica... Regie!..., Regie!... Wszak mnie rozumiesz?...

— Tak i nie...

Wziął jej obie rączki, zamknął w swoich krzepkich dłoniach i spojrzał jej uważnie i głęboko w oczy:

— Kochanie moje — pojmuję twoją dumę i subtelność odczuwania, które kierują twojem postępowaniem, ale to mi nie wystarcza...

— Nie wystarcza?...

— Alicyo, czy zechcesz odpowiedzieć mi na kilka pytań?

— Oczywiście. Jeżeli tylko będę mogła...

— Możesz... i nikt inny, tylko ty... Powiedz mi, gdyby nie ten tak przykry wypadek, który nas rozdzielił na kilka tygodni — czy nie miałabyś nic przeciw oficyalnym naszym zaręczynom?

— Z pewnością, że nic!... — spotkała się z jego wzrokiem i nagle opuściła oczy:

— Czy uczucia twoje nie uległy zmianie? Czy nie wchodzi tutaj w grę ktoś i n n y ?

— Nikt! Inny — nigdy!

— Będziemy się widywać, jak dawniej? Zostanę w dalszym ciągu twoim najlepszym przyjacielem?

— Jakżeżby inaczej być mogło? Moim najlepszym, najserdeczniejszym, jedynym przyjacielem... Ale tylko przyjacielem...

— A kiedy się tajemnica wyjaśni, to wówczas?...

— A wtedy i zawsze... — pozostanie tak, jak było... Zapewniam cię, Reginaldzie...

— I jeżeli ja zgodzę się na tę propozycyę, to odczujesz to jako ulgę w twem obecnem położeniu?

— Tak jest.

— A zatem zgadzam się — przynajmniej na razie. Od tej chwili masz we mnie przyjaciela, któremu możesz zaufać i rozporządzać nim według twej woli... Albo poślubię Alicyę Irving, albo zostanę kawalerem do śmierci!...

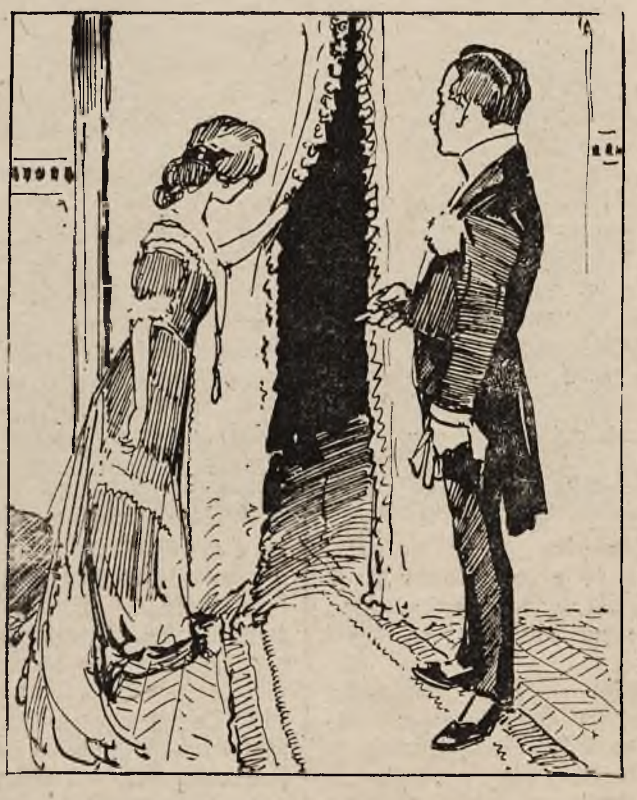
Podniósł jej ręce do ust, ucałował i rzekł:

— A zatem?

— Dziękuję ci, Regie — i odejdź już. Chcę zostać sama, muszę wypocząć, zanim ciotka Muranda i ojciec mój przyjdzie...

— A kiedy mogę przyjść znowu?...

— Od jutra, kiedy zechcesz, mój przyjacielu...



...poczem rozwinęła portyery, aby zajrzeć do sąsiedniego pokoju.

Wyczerpana opadła na sofę, kryjąc twarz w jedwabnych poduszkach. Reginald wziął swój kapelusz i wychodząc, rzucił długie uważne spojrzenie na pochyloną głowę i jakby złamaną postać młodej dziewczyny...

ROZDZIAŁ III.

Głos opinii.

Pani Parrington spoglądała za wychodzącą w towarzystwie Reginalda Alicyą Irving, wsparłszy delikatnie łokcie na kraju stołu...

A choć tych dwoje znikło już ze sali, mała, zgrabna blondynka o energicznej, świeżej twarzyczce i prześlicznej linii biustu, jakby wyciosanego z bladoróżowego marmuru — zdawała się ciągle ścigać ich wzrokiem, tonąc w głębokim namyśle... Trwało to, dopóki jej towarzyszka nie zauważyła ze śmiechem:

— Ależ, Daisy, zupa ci wystygnie!...

— Prawda! — zawołała mała kobietka i ze zdwojoną energią zabrała się do jedzenia.

Panna Smedley spoglądała na nią, nie mówiąc, tylko uśmiechając się znacząco kącikami ust:

— No, czegóż ty milczysz, jak zaklęta? — zawołała wreszcie pani Daisy Parrington, wypróżniwszy do dna talerz. — Nie lubię siedzieć przy stole razem z mrukami...

Tamta roześmiała się.

— Daisy, wiem dobrze, że pali cię chęć wypowiedzenia jakiejś uwagi o Alicyi Irving, albo Reginaldzie Grey'u i pragniesz, abym ja na temat rozpoczęła rozmowę... Ponieważ jednak mnie nic nie przychodzi do głowy, więc pozostawiam ci pierwszeństwo... Zacznij ty...

— Ach!... — pani Parrington przestała jeść mięso, odłożyła nóż i widelec — powiedz, co ty myślisz o tej całej historyi?

— To znaczy o...

— Naturalnie, że o tem tajemniczem zniknięciu i równie tajemniczym powrocie Alicyi Irving!

— No a ty?... — zapytała miss Smedley, która znając dobrze swoją przyjaciółkę, wiedziała, że tej chodzi głównie o zakomunikowanie własnych spostrzeżeń...

— Wiesz, tak mówiąc w zaufaniu... pod sekretem...

— To się rozumie, że pod najściślejszym sekretem!...

— Zatem, między nami mówiąc, mam wrażenie, że w tej sprawie kryje się coś więcej, niż my wszyscy wiemy...

— Cóż przypuszczasz?... że jakiś mężczyzna?...

— Posłuchajno — pani Parrington w zapale rozmowy zbliżyła się z krzesłem do swej sąsiadki. — Czy znasz ty sprawę, bo właśnie wtedy nie było cię w Nowym Jorku?

— Czytałam opisy w gazetach... Pamiętam, że najbardziej zdziwiło mnie to, iż ci ludzie zadowolili się taką małą sumą, i że Alicya sama nie żądała pieniędzy... Przecież ona posiada wielki po matce odziedziczony majątek...

— Tak, ale ten dostanie do rąk dopiero w przyszłym miesiącu... Co do owej małej sumy, to masz zupełną racyę... Mówię ci, w tem coś tkwi!... Czy wiesz, że wszystkie wystosowane do starego Irvinga listy, pisane były na maszynie?

— Więc cóż z tego?

— I że Alicja przeczy, jakoby którykolwiek z nich dyktowała...

— Co powiadasz!...

— I to całe jej opowiadanie, które się nie przedostało na łamy dzienników... Śmiałe uprowadzenie, pokój z górnem światłem, dobre traktowanie, dozorcy więzienni, których twarzy nie widziała ani razu... I następnie ten fakt, że uwieziono ją i przywieziono z powrotem pod chloroformem...

Osobliwą jest ta cała historya bezwątpienia — i rozumiem to dobrze, dlaczego ta biedna Alicya wygląda tak bardzo mizernie... Jaka ona blada, nieprawdaż? Podobno pod wpływem wstrząsających wrażeń ucierpiała jej pamięć... Percy'ego Loundesa nie poznała wcale w pierwszej chwili, kiedy przyszedł razem z Reginaldem z wizytą..

— I ja o tem słyszałam... Irmo, czyś ty ją obserwowała w chwili, kiedy zdejmowała rękawiczki?

— Owszem. Zauważyłam nawet, że guziki zaczepiły się o koronki rękawa.

— Nie o to mi chodzi, — czyś patrzyła na Reginalda?

— Widziałam, że bardzo pilnie pomagał Alicyi zdejmować rękawiczki.

— I to już wszystko, coś zauważyła?

— Moja droga Daisy, doprawdy nie wiem o co ci chodzi.

Pani Parrington nachyliła się jeszcze bliżej do przyjaciółki i przyciszywszy głos mówić poczęła:

— Możeby to wcale nie zwróciło mojej uwagi, gdybym ich nie widziała wczoraj w teatrze... Siedzieli akurat na przeciw mnie i wtedy uderzyło mnie, że on jest jakiś inny niż dawniej... Ilekroć ona nie patrzyła na niego, zmieniała się nagle jego twarz i takiego nabierała wyrazu, jak gdyby go coś niesłychanie niepokoiło... Za każdym razem kiedy Alicja mówiła coś do niego uśmiechał się, starając się znowu przywrócić swej fizyognomii swobodę i wesołość... A dzisiaj, kiedy odczepiał guziczki jej rękawiczek znowu odmalował się na jego twarzy ten sam wyraz niepokoju — *tylko daleko silniejszego*... To wyglądało tak, jakby on sobie chciał powiedzieć: O! to jeszcze gorsze niż wszystko inne!“

— Może rozdarł koronkę?

— Brednie! Powiedz lepiej, że może *widmo* jakieś zobaczył, bo tak w tej chwili wyglądał... Twarz mu poprostu skamieniała, kiedy spojrzał na jej ramię, obnażone z rękawiczki...

— Daisy! ty zanadto popuszczasz cugli twojej fantazyi!...

— Poczekajno, moja droga! Zadziwisz się ty jeszcze, ja ci to przepowiadam! Nie wyobraźnia mi to mówi — ale moje oczy niezawodne!... I jeszcze jedna rzecz... Wszakże przed jej tajemniczem zniknięciem — sądzono ogólnie, że zaręczyny z Reginaldem Grey zostaną lada dzień ogłoszone?

— To prawda.

— A zatem... Założę się o tuzin rękawiczek, że zawiadomienia zaręczynowe nie będą wydrukowane dopóki...

— Dopóki co?

— Dopóki, nie usunie się to coś, co gnębi i niepokoi Reginalda w chwili, kiedy jest on razem z Alicją Irving...

Irena zaśmiała się:

— Zobaczymy. Tymczasem przypominam ci, że noszę rękawiczki Nr. 6 i przedkładam nad inne barwy kolor ciemnobronzowy... Ale Daisy, zdaje mi się, że chciałaś załatwić jakieś sprawunki...

— Ach! co tam sprawunki!... — wyrzekła pani Parrington z lekceważącym tonem, zaczęła jednak pospiesznie zbierać rękawiczki, woalkę, torebkę, aby się udać na planowany objazd sklepów i magazynów mód.

Pani Daisy Parrington była żoną milionera-sportsmena, człowieka łagodnego, dobrodusznego, który serdecznie kochał swoją żonę. Małżeństwo żyło zgodnie, przyczem żona nie przeszkadzała mężowi oddawać się pasyom sportowym, a mąż nie zabraniał żonie żyć także według własnego upodobania.

Przyjaźń Daisy z jej bogatą, podstarzałą już kuzynką Irmą, datowała się z lat dawnych i opierała się głównie może na różnicy natur tych dwóch kobiet. Albowiem pani Parrington znaną była jako osóbka żywa, ciekawa, wścibska — o bardzo dobrem sercu, a kuzynka mówiła mało, ale posiadała silnie rozwinięty zmysł satyryczny i podrwiwała sobie często w cichości z trzpiotowatej, lubiącej trochę pozować Daisy.

W godzinę później elegancki automobil pani Parrington zatrzymał się przed olbrzymim „drapaczem chmur“.

— Wielki Boże!... znowu taki kolosgmach! — zauważyła Irma, potrząsając głową. — Co się też tutaj mieści? jak myślisz Daisy?

— Rozmaitego rodzaju biura, kantory, pracownie itp. Lekarze, adwokaci, pośrednicy, detektywi, — jednem słowem znajdziesz tu wszystko!... Nawet najelegantsze „manierre etablissement“ mieści się tutaj... O! Irmo, popatrz, proszę!... (C. d. n.).

Zbliża się „zima-czarodziejka".

Dlaczego się tak oziębiło? — Śniegi spadły we Francyi. — Góry są pokryte srebrną pokrywą. — W Polsce gotowa być niedługo sanna...

W początkach października Francya była terenem ciekawych zmian atmosferycznych. Oto w Murat trwały silne burze, silne deszcze spowodowały znaczne ochłodzenie temperatury, a śnieg, który pokrył szczyty gór, zwłaszcza Plombodu Cantal, spadł bardzo obficie w całej okolicy.

Równocześnie te same wieści nadeszły z Espalion i Chambery. W Tulonie po istnej trąbie powietrznej, która szalała w całym departamencie Var, a skutkiem której strumienie wystąpiły z brzegów, zalewając niżej położone okolice Tulonu, temperatura znacznie spadła i dało się odczuć znaczne zimno. W wielu gminach spadł grubym pokładem śnieg. Wszystkie wzgórza są białe od śniegu.

Jak z tych relacyj się okazuje, nagłe oziębienie się temperatury u nas ma swoje przyczyny, w zniżce barometrycznej, jaka zapanował w całej Zachodniej Europie. Nic dziwnego, że w naszych miastach widać już elegantów i paskarzy w futrach, a w kawiarniach czuć... zapach naftaliny... Zimno zaczyna dokuczać nam zarówno, jak mieszkańcom Tulonu. Maluczko, a ulice pokryją się białym, puszystym śniegiem i sanki zadzwonią srebrzystym szczebiotem po ulicach.

Zbliża się „zima-czarodziejka", przemieniające cały świat w nieogarniętą mleczną biel. W jej mocnym mroźnym uścisku, znajdą się wkrótce miasta i wioski...

Idzie piękna, majestatyczna, mieniąca się iskrami srebra królowa zima, a tuż za nią postępuje okrutne, bezwzględne widmo braku węgla!...

Bolszewicy odbierają rodzicom dzieci.

Bolszewicy rosyjscy wpadli teraz na nowy pomysł. Postanowili mianowicie upaństwowić dzieci.

Dzieci powyżej lat trzech, mają być rodzicom odebrane, choćby przemocą i umieszczone w państwowych zakładach, które mają wychować swych pupilów w duchu bolszewickim... Ażeby uchronić wychowanków zakładu od „zgubnych" wpływów „burżuazyjnych" — odwiedziny będą rodzicom wzbronione. W Tule wyrwano już „na próbę" 7000 dzieci z pod opieki rodzicielskiej. Ponieważ ojcowie i matki sprzeciwiali się temu gwałtowi, wiele osób z pośród nich uwięziono. Skutek tego eksperymentu był taki, że większa część maleństw zmarła, wskutek braku odpowiedniego pożywienia i pielęgnacyi.

100-miliardowa loterya.

Louis Guislain przedłożył w Izbie francuskiej projekt olbrzymiej loteryi o kapitale 100 miliardów franków, przeznaczonej dla ofiar wielkiej wojny. Projekt jest obliczony w ten sposób, by 30—35 procent od kapitału wpłaconego obrócić na wygrane. 10—15% na koszta emisyi i propagandę, reszta zaś 50 milionów, służyłaby do otarcia łez ofiarom wojny.

Loterya ta w przeciągu dwu lat miałaby rozsprzedać swe bilety, a po trzech miesiącach rozpoczętej sprzedaży biletów już nastąpiłoby pierwsze ciągnienie.

Wygrane wobec przypuszczalnej cyfry wpływów losowych byłyby olbrzymie. Główna wygrana wynosiłaby kilka milionów franków.

Fachowcy francuscy są zdania, że olbrzymia ta, miliardowa loterya może liczyć na pełne finansowe powodzenie.

Nowe Monte Carlo.

Zadłużone po uszy państwa i państewka, szukają obecnie rozmaitych źródeł dochodu. Idąc po tej linii, księstwo Lichtenstein dla poratowania swych finansów postanowiło założyć kasyno, na wzór Monte Carlo.

Panujący książę chętnie zgodził się na propozycyę ministrów — wychodząc z założenia, iż niema lepszej drogi do szybszego zrobienia milionów.

Wprawdzie za przykładem księcia Monaco, ks. Lichtenstein nie będzie osobiście narażał swych pieniędzy na niepewny los przy zielonym stoliku, ale pobierać będzie olbrzymie podatki, „kartowe" od zgrywających się paskarzy i innych dostawców wojennych.

Odbudowa katedry w Reims.



Wnętrze katedry w Reims.

Jeden z najpiękniejszych tworów architektury katedra w Reims, w czasie walk francusko-niemieckich zniszczona pociskami działowymi — ma być odbudowana... Oczywiście restauracya takiego dzieła sztuki wymaga ogromnej znajomości rzeczy, subtelności w pracy, aby świątynia odbudowana, przedstawiała prawdziwy obraz tego, co było...

To też najwięksi artyści i znawcy sztuki, dokładają wszelkich starań, aby tak zrestaurować katedrę, iżby w niczem stylowość jej nie poniosła żadnej szkody.

W dziewiczych krajach Afryki.

3 (Dalszy ciąg).

Yankes zabrał się do roboty i rozwiązał zadanie, umieszczając pod statkiem jedno koło o silnych łopatach stalowych. Nie była to wprawdzie jeszcze śruba w dzisiejszej swojej formie i doskonałości, ale krok pierwszy zrobiony został.

Wynalazek i tajemnicę Rontonac opłacił milionem dolarów. Miejsce komina zamaskowane było przez luft kuchni, a kiedy kształtne galioty stały na kotwicy, nic nie znamionowało, że za pierwszym sygnałem na szybkie parowce zamienić się one mogą.

Kapitanowie dowodzący tą szczególną flotą nie znali się wcale i nigdy spotkać się nie mieli. Każdy statek, raz wyekwipowany, wypływał z Nowego Orleanu, nie wracając doń nigdy. Ładowano go w Royan i wyruszał do miejsca wiadomego jedynie kapitanowi. Takich podróży odbywał cztery, przewożąc za każdym razem na dany punkt wybrzeża w Brazylii, Kubie, lub Ameryce południowej trzystu lub czterystu murzynów i zyskując na czysto od siedmiu do ośmiukroć sto tysięcy franków.

Pierwsza podróż opłacała statek i wszelkie koszta jego wyekwipowania. Korzyści trzech następnych dzieliły się w ten sposób: trzecia część kapitan, oficerowie i załoga — dwie trzecie armatorowie. Wszyscy godzili się na cztery podróże; po czwartej kapitan rozpuszczał ludzi, a statek sprzedawał na brzegach Chili lub Meksyku w pierwszym lepszym porcie. Każdy szedł wtedy, gdzie mu się podobało; nikt nie sarkał, bo każdy się zbogacił.

W zuchwałych tych przedsięwzięciach wszystko wybornie przewidzianem było; oficerowie i załoga mniemali, że służą u kapitanów, właścicieli statków, ci zaś ostatni, wiedzący doskonale co ryzykują w razie schwytania przez statek strażniczy, nie posiadali najmniejszego świstka, na zasadzie, którego mogliby oskarżyć i dowieść oskarżenia swoich pryncypałów.

Związani słowem i interesem własnym, mogli się uważać za rzeczywistych właścicieli do tego stopnia, że jednemu z nich, dowodzącemu „Szerszeniem“, przyszła raz ochota, wypłynąwszy z Royan ze statkiem obładowanym towarami wymiennymi, przyswoić go sobie wraz z ładunkiem. Zamiast więc udać się na punkt wskazany, zaczął się włóczyć wzdłuż wybrzeży Senegambii.

Z początku wszystko szło dobrze, ale zapomniał o szatańskiej ostrożności Rontonaców. Według umowy, którą sam podpisał w Nowym Orleanie, pomocnik jego miał pobierać tysiąc franków miesięcznie, główny naczelnik tyleż, wszystkie inne płace były stosunkowo również wysokie; najniżej płatny majtek brał dwieście pięćdziesiąt franków. Przez zbytek przezorności zawarowano, że płaca ma być uiszczana jedynie w portach, w których zatrzymywać się miano, skutkiem czego kapitan, żeglujący prawie bez grosza, odbierał od naczelników kantoru sumy należne całej załodze na tych wyłącznie stacyach, do których udać mu się polecono.

Wobec płac podobnych i kontraktu na cztery wyprawy, kapitan przy pierwszym żądaniu pieniędzy przez podwładnych zrozumiał zaraz, że rychłoby mu zjedzono ładunek i statek, nic nie pozostawiając dla niego. Więc porzuciwszy niewczesne zachcianki, spiesznie udał się na miejsce przeznaczenia i ubarwił o ile mógł najlepiej przed ajentem Rontonaców opóźnienie swoje. Zrozumiano niezawodnie jego zamiary, ale nie robiono mu wymówek w Bordeaux, bo próba jego i powrót dowodziły, że odtąd można było liczyć na niego.

Od czasu zniesienia niewolnictwa, statki strażnicze pochwyciły jeden tylko okręt Rontonacom, ale kapitan, Yankes prawdziwy, ażeby uniknąć stryczka, wysadził się w powietrze z całą załogą i trzystu murzynami.

Mnóstwo ajentów osiadłych w Moyamba, Loango, Loandzie, Bengueli i przy ujściu Congo, gromadziło otwarcie kość słoniową, piasek złoty, kauczuk, ale potajemnie pozostawało w stosunkach ze wszystkimi królikami i naczelnikami plemion Afryki środkowej, którzy przysposabiali partye h e b a n u. Na kilka miesięcy ajenci ci za pomocą korespondencyi cyfrowanej uprzedzali o nieznanym punkcie nadbrzeżnej pustyni, gdzie odbyć się miała wymania i ładowanie murzynów i to właśnie tłumaczy, dlaczego galioty z Royan nieraz trzy lub cztery miesiące wyczekiwać musiały, zanim się dowiedziały o miejscu swego przeznaczenia.

Kapitan Le Noël był może najzręczniejszym ze wszystkich używanych w danej chwili przez Rontonaców... a „Osa“ najściglejszym statkiem flotylli.

I jeden i druga rozpoczynali czwartą swoją wyprawę.

III.

PASAŻEROWIE „OSY“.

Czterej pasażerowie rządowi w księdze okrętowej „Osy“ zapisani byli, jak następuje:

Toucas, pomocnik komisarza marynarki;

Giliasse, lekarz klasy drugiej;

Barthet, podporucznik piechoty marynarki;

Urban Guillois, komisant marynarki.

Wszyscy przeznaczeni do Gabonu.

Pomocnik komisarza i lekarz urodzili się w Tulonie współcześnie prawie; w ciągu długiego swego żywota, bo rocznik urzędowy dawał już im lat 55, ciągle rywalizowali z sobą, nie przestając być przyjaciółmi.

Dziećmi będąc próbowali, kto kamykiem lepszą wybije k a c z k ę na wodach portu; młodzieńcami, uważali za punkt honoru, pomagając sobie wzajemnie, stanowić aryergardę swej klasy do tego stopnia, że pewien cenzor jowialny czytając tygodniowe stopnie, zwykł był zawsze tak kończyć: „o s t a t n i, pp. Toucas i Galiasse, n a r ó w n i“. Trzeba było słyszeć śmiechy, jakie co sobota w kollegium Tulońskiem towarzyszyły temu ogłaszaniu.

Mając lat ośmnaście, opuścili, trzymając się pod ręce, ławy szkolne i nie stając do egzaminów wieńczących studya. Inspektor dał rodzicom do zrozumienia, że nie wypadało robić im farsy, posyłając ich na egzamin bakalaureatu przed fakultetem w Aix, tak pobłażliwym jednakże.

Trzebaż jednak było, żeby coś robili, nie spodziewając się żadnego majątku od rodziców. Więc jeden wstąpił jako pomocnik kancelisty w biurach administracyi marynarki, drugi jako uczeń aptekarski przy szpitalu Saint-Mandrier.

W lat dziesięć potem byli tam jeszcze obadwaj. Toucas nie był nigdy w stanie dać zadowalniającej odpowiedzi na pytania najprostsze, które niegdyś zmieniały pomocnika kancelisty w kacelistę etatowego; nie posiadał widocznie talentu wrodzonego do składania egzaminów.

Co do Giliassa, to aptekarz główny poprosił go raz do swego gabinetu i tak doń przemówił:

— Zdaje mi się, szanowny panie, że nie masz powołania do farmacyi i że świetne zdolności pańskie powinnyby zwrócić się raczej ku medycynie i chirurgii.

Poczciwiec nasz przeszedł wtedy z jednego fachu na drugi z tytułem ucznia morskiej szkoły lekarskiej. Ale dwa tygodnie nie upłynęło, kiedy profesorowie zapewniać go zaczęli, że właśnie posiada wszystkie przymioty na pierwszorzędnego farmaceutę.

Bywa jednakże chwila w marynarce, która peryodycznie wydobywa na wierzch niedołęgów z mułu portowego i z tajemnych głębin zakątków administracyjnych. Jest to chwila wysyłania urzędników do niezdrowych kolonii. Trzeba widzieć wtedy, jakich każdy używa przebiegów, jakich protekcyj, żeby nie być wysłanym. Wtedy otwiera się owym niedołęgom pole do rzekomego poświęcenia, co jest, nawiasem mówiąc, bardzo na rękę wszystkim. Stają wtedy do egzaminu dla formy jedynie i wyprawiani są z tytułem urzędowym. Takim to sposobem Toucas i Giliasse wyszli z wiekuistego stanu aspirantów.

C. d. n.

Przez piaski Sudanu

5.000 km. na motocyklu.

Mgr. Lemaitre, biskup Sudanu, opowiedział w jednem z pism paryskich szczegóły ciekawych przygód, jakich doznał podczas swych objazdów pasterskich przez rozległe piaszczyste przestrzenie Sudanu.

„Kiedy mianowano mnie duszpasterzem wikaryatu apostolskiego w Sudanie, pierwszą moją myślą była troska, jak też ja zdołam odwiedzić wszystkich moich wiernych, powierzonych mej duchownej opiece... Wszakże ów wikaryat rozciąga się od Senegalu i Gwinei aż do jeziora Tschad, dobiega do północnych części Timbuktu i dotyka Dahomeju... Ogółem wziąwszy 5.000 kilom. A jakież środki komunikacyi? Od Kayes do Nigeru 554 klm. kolei żelaznej. W dolinie Nigeru przez sześć miesięcy, kiedy stan wody jest wysoki, możliwą jest komunikacya statkiem lub łodzią. Ale od Nigeru do Volty, od Segu do Mossi i Gourounsi odległość wynosi więcej, niż 800 klm.; z Banako aż do Guerezes ponad 500 klm. — a przestrzeń tę przebyć można przy pomocy jedynie konia.

Nie mówiąc już o trudnościach i niewygodach takiej podróży konnej — ten sposób lokomocyi zmusiłby mnie do spędzania przynajmniej trzech czwartych roku w drodze, co odbiłoby się bardzo ujemnie na ogólnym zarządzie powierzonych mej pieczy spraw religijnych.

I wtedy to przyszło mi na myśl, ponieważ jestem zapalonym zwolennikiem motocyklu; aby w objazdach moich posługiwać się tym właśnie środkiem komunikacyi.

Zakonnik towarzyszący mi, miał jechać na bicyklu.

Odjazd nasz z Segu wywołał ogromn[illegible] sensacyę: biali i czarni, nikt nie chciał stracić tego widowiska!... Spodziewano się, że po przejechaniu kilkunastu kilometrów, wrócimy zawstydzeni, jednakowoż oczekiwanie to zawiodło!...

Łatwo sobie wyobrazić — że podróż nasza mało przypominała — wycieczkę sportową, czy przejażdżkę dla przyjemności.

Jednakowoż, jeśli warunki terenowe były nie najgorsze, udawało się nam osiągać szybkość 17 kilometrów na godzinę.

I odtąd zachowałem ten sposób objazdu. Odwiedzam wszystkich jadąc z szybkością 30 klm. na godzinę“.

Czarni, którzy dotychczas nazywali biskupa Sudanu „wielki szeik religii białych“, dali mi miano „Ojca Pupupu“.



Grupa mieszkańców Afryki na drzewie.



Sudańczyk z fajką.

Choroba Wilsona.

O stanie zdrowia Wilsona brak bliższych szczegółów, jedno jest tylko pewnem, że choroba prezydenta Stanów Zjednoczonych — to jedna z tych niespodzianek, których ludzkość dotyka kilka już razy w czasie tej wojny. Człowiek, który zadecydował o wyniku wojny, człowiek, którego wola ukształtowała świat, człowiek, który wykorzystał Niemcy, wkrzesił Polskę, stworzył Czechy, jednem słowem człowiek, którego słowa stanowiły o losach Europy i Ameryki, o losach niemal całego świata, właśnie w chwili, w której jego dzieło nie kończy, ogarnięty niemocą, czeka tam decyzyi lekarzy! Trudno istotnie o większą tragedyę wielkiego człowieka!

Wilson, profesor historyi, sam się postanowił tworzyć! Olbrzymiej inteligencyi, szalonej energii, chłodnego umysłu, człowiek zaważył na losach świata tak, jak w dziejach nowoczesnych zaważył tylko jeden człowiek, Napoleon Wielki. On jednak zadecydował o losach świata swoją przewagą umysłową, a nie strategią wojskową!

* * *
*

Zboczenie zawodowe.

Z anegdot o prezydencie Wilsonie.

Prezydent Wilson, nie należy bynajmniej do potulnych pacyentów. Tak jak na wszystko inne ma on, na medycynę swoje ustalone poglądy. Kiedy pięć miesięcy temu, podczas pobytu w Paryżu, wystąpiły u niego pierwsze objawy choroby, która go teraz zmogła — lekarz musiał się nad nim dobrze napracować, aby go zmusić do odpoczynku.

— Pan jest złym pacyentem — rzekł wkońcu zniecierpliwiony eskulap do prezydenta — pan nie ufa swemu lekarzowi i nie chce pan stosować się do jego wskazówek...

— Co też pan mówi? — zdziwił się Woodrow Wilson — przecież ja zażywam wszystkie lekarstwa przepisane mi przez pana!

— Tak, ale pan wywiera presyę na mnie, abym panu tylko to ordynował, co pan uważa za stosowne... Pan jest pacyentem, który zamiast dać się przekonać, sam przekonuje...

— Widzi pan — odparł śmiejąc się prezydent — bo ja stosuję także do pana metody polityczne... To już jest takie zboczenie zawodowe...

Z królestwa mody.

Trzy sensacyjne nowości charakteryzują obecną modę paryską: małpa, ptak rajski i giemza mongolska...

Futro małpie widnieje na sukniach wszystkich elegantek, pióra ptaków rajskich wystrzelają dumnie ku górze, jako ozdoba fryzur i kapeluszy, z giemzowej skóry, robi się czapeczki i przybiera się nią najwykwintniejsze toalety.

— Moja stara małpa, kupiła mi wspaniałego rajskiego ptaka — może śmiało powiedzieć, swawolna paryska „midinettka“.

— Mój rajski ptak, kupił sobie małpkę — gotów wyrzec jej wielbiciel.

Futro małp zdobi tuniki, suknie koszulowe w postaci festonów, girland, frendzli... Jest to futro bardzo ładne, efektowne, ale ogromnie delikatne i nietrwałe... Po jednym przetańczonym wieczorze „małpie“ garnirowanie ulega zupełnemu zniszczeniu...

Zarówno owe „małpie“, jak „giemzowe“ i „rajskie“ stroje — są niezmiernie kosztowne i tylko kobiety, rozporządzające wielkimi środkami materyalnymi, mogą sobie pozwalać na dogadzanie tym najnowszym kaprysom królowej mody.

Grób Marietty.

Nowela.

Wiózł na swym okręcie najczerwieńsze korale i perły o najcudniejszym blasku, by niemi ozdobić wysmukłą, smagłą szyję Marietty. Misternie tkane wschodnie materye o barwnych, przedziwnych deseniach miały owinąć jej piersi wysokie i okrągłe, jej cudne ciało...Krwawe rubiny, jak fala morska zielone szmaragdy, żółte topazy, księżycowe opale wiózł, aby rozbłysły w lśniącym jedwabiu jej włosów i purpurowe pantofelki, które miały okryć jej drobne, dziecięce nóżki.

Tak jechał Nenio przez modry przestwór Adryatyku, marząc o wdziękach pięknej Marietty, pełen tęsknoty, miłości, pożądania.

A kiedy okręt jego zawinął do portu miasta rodzinnego — Marietta już nie żyła.

Nikt w mieście nie zwracał uwagi na zrozpaczonego, który rażony wieścią o śmierci oblubienicy, umarł dla własnego życia... Błądził on po ulicach, jak widmo człowieka... Poprzez wysoką, krzyżem ku niebu strzelającą bramę — znalazł drogę na cmentarz. Jakaś stara kobieta wskazała mu jeden ze świeżych grobów, mówiąc, że to jest miejsce wiecznego spoczynku Marietty. Cicho — bez łez padł na kolana, aby zmówić modlitwę. Ale stare, się dla niego martwymi dźwiękami. dobrze pamiętane słowa nabożne stały

I zdjęty palącą zmysłową tęsknotą wybuchnął głośnym płaczem i z krzykiem rozpaczy, wstrząsany konwulsyjnemi drgawkami, przypadł do wilgotnej ziemi mogiły.

I zdało mu się, jakby Mariettę samą ujmował w ramiona... Wszystkie, żarem płonące, słowa miłosnej pieszczoty szeptał, upajając się złudzeniem, że ona go słyszy, opowiadał o swej dalekiej podróży do krajów Wschodu, rojnych, bogatych miastach, o kaprysach Adryatyku i wiernym przyjacielu, wietrze wschodnim, który go przywiódł tutaj do niej...

Potem wziął czerwone korale, połyskliwe perły, barwne chusty, jaśniejące kamienie i przykrył je miękką, wilgotną ziemią mogiły...

Od tej chwili codziennie przychodził na grób... Zasadził smukłe, subtelne drzewo cyprysu i zasiał pod niem wonne, szkarłatne kwiaty... Kiedy zapadał zmierzch wieczorny, rysował się ciemny cyprys w mroku, jak postać Marietty obsłonięta włosami... a barwa kwiatów była jak świeżość rumiana jej młodych lic...

Pokochał Nenio ten grób — umiłował każdą grudkę ziemi, każdy kamyczek... I żył życiem odrębnem, dla innych ludzi niezrozumiałem...

I mijały miesiące... Na cmentarzu przybywało mogił... Obok grobu, który Nenio uważał za swoją własność, wzniesiono pomnik z białego marmuru. Ludzie przychodzili, płakali, gwarzyli i znów odchodzili... Nenio nie zwracał na to uwagi... Dla niego istniała tylko jedna mała mogiłka, zielona darń, czerwone kwiaty i smukły cyprys...

Aż wreszcie pewnego dnia, kiedy jak zwykle przyszedł na grób, ujrzał zamiast cyprysu kwadratową kamienną płytę, na której wyryto słowa:

„Tutaj spoczywa Antonio Meraldo, cieśla okrętowy, zasnął w Panu, przeżywszy lat 80. Wieczne odpoczywanie!“

Nenio przez chwilę patrzył z osłupieniem na pomnik... Serce na mgnienie oka przestało mu uderzać w piersi. A potem oczy jego padły na pomnik stojący na sąsiednim grobie. I przeczytał: „Tutaj leży Marietta Lianti, z woli Boga odebrana rodzicom w 18-tym roku życia. Wieczny spokój jej duszy‘...

Jak szalony podbiegł Nenio do tego grobu... Wyprężyły się stalowe muskuły jego ramion i torsu. Pochwycił w żelazny uścisk obelisk pomnika, chcąc go wyrwać zz iemi... Ale było to ponad jego siły... Nie zdołał poruszyć kamienia z miejsca... Wówczas z wściekłym gniewem kopnął nogą ziemię mogiły, pod którą spoczywały śmiertelne szczątki pięknej Marietty... Wzniósł się gęsty, żółty tuman — grudki ziemi i kamyki rozprysły się na wsze strony.

Nenio wyjechał znowu na morze, a okręt jego nigdy już nie powrócił do ojczyzny...

ALEKSANDER DUMAS.

HRABIA MONTE-CHRISTO.

Marsylia. — Przybycie.

— Oh, jeszcze nie, racz pan dobrodziej wybaczyć. Po tych odwiedzinach, mam iść gdzieindziej, dokąd mię również serce woła.

— Ah, prawda, zapomniałem na śmierć, istnieje jeszcze ktoś, co cię z nadzwyczajną oczekuje niecierpliwością, również jak ojciec; wszak śliczna Mercedes?

Dantes spłonął rumieńcem.

— Ah, nie dziwię się teraz, — rzekł pan Morrel, — dlaczego tu ze trzy razy przychodziła pytać, czy nie ma jakich wiadomości o Faraonie. Do kata! szczęśliwyś mój Edmundzie, piękną masz dziewczynę.

— To moja narzeczona, — odpowiedział poważnie i cierpko Dantes.

— Wszystko jedno, narzeczona, dziewczyna, — rzekł z uśmiechem właściciel statku.

— Idź już, idź, kochany Edmundzie, nie zatrzymuję cię dłużej. Dosyć pracowałeś dla mnie, w moich interesach, teraz masz prawo użyć czasu ile ci się podoba dla siebie. Może potrzebujesz pieniędzy?

— Dziękuję bardzo, oszczędziłem sobie dosyć w podróży, całą trzymiesięczną płacę.

— Porządny z ciebie chłopiec, Edmundzie!

— Pan dobrodziej wiesz, że mam ojca ubogiego, — odpowiedział Dantes.

— O wiem, wiem, żeś dobry syn jak mało, idź więc, powitaj go. Ja także mam syna, i nie byłbym bardzo rad temu, któryby go po trzymiesięcznej podróży zatrzymywał długo przy sobie.

— Żegnam więc pana dobrodzieja! — kłaniając się, rzekł młodzieniec.

— Bywaj zdrów, jeśli mi już nic nie masz do powiedzenia.

— Nie, nic już.

— Czy kapitan Leclerc przed śmiercią, nie poruczył ci jakiego listu do mnie

— On nie był w stanie nic pisać. Ale, dobrze żem nie zapomniał. Chciałbym prosić pana dobrodzieja o kilka dni urlopu.

— Chcesz się zapewne żenić?

— Tak... muszę potem jechać do Paryża.

— Dobrze... dobrze, możesz się zająć swojemi sprawami, jak długo zechcesz! Wyładowanie statku zajmie najmniej sześć tygodni, więc dopiero za trzy miesiące będzie mógł rozwinąć żagle. Ale za trzy miesiące, trzeba, żebyś był gotów. Faraon — dodał wkońcu, uderzając po ramieniu młodego marynarza, — nie mógłby odpłynąć bez kapitana.

— Kapitana! — zawołał Dantes, i oczy zaiskrzyły mu się radością. — Uważaj dobrze, na to coś wyrzekł drogi panie; bobym ciężko przypłacił najskrytsze nadzieje serca mojego. Czyż masz pan rzeczywiście zamiar mianowania mię kapitanem Faraona?

— Gdyby to ode mnie samego zależało, podałbym ci rękę mój drogi Dantesie i powiedział: Jesteś kapitanem. Ale mam wspólnika, a znasz włoskie przysłowie: „kto ma wspólnika, ma naczelnika“. W połowie jednak rzecz skończona; tak przynajmniej sądzę, albowiem z dwóch głosów, jednego możesz być pewnym; polegaj zresztą na mnie.

— O! zacny panie Morrel, — zawołał młody marynarz, ściskając jego ręce ze łzami w oczach. — Dziękuję ci szlachetny panie Morrel w imieniu ojca mojego i mojej Mercedes.

— Bądź spokojny drogi Edmundzie; cóż u djabła! jest Bóg na niebie, co ma w swej opiece poczciwych; idź już do ojca, do swojej Mercedes, a potem wracaj do mnie.

— Pozwoli pan dobrodziej, że go na ląd odprowadzę?

— Nie potrzeba, dziękuję ci; ja tu zostanę dla obliczenia się z Danglarsem. Czy byłeś z niego kontent w czasie podróży?

— To, zależy od myśli, jaką pan dobrodziej przywiązuje do tego pytania: jako z towarzysza, nie jestem kontent, wiem że mnie nie lubi, szczególnie od chwili, kiedym popełnił niedorzeczność wielką i wyzwał go na pojedynek, skutkiem jakiejś małej sprzeczki, zaszłej pomiędzy nami. Chciałem abyśmy się zatrzymali dziesięć minut na wyspie Monte-Christo, dla zakończenia ostatecznie sporu. Głupstwom zrobił, żem go wyzwał on zaś postąpił najrozsądniej, że nie stanął. Jeśli mnie pan pytasz o zdanie o nim, jak o buchalterze, sądzę, że będziesz pan kontent; obowiązki swe pełni gorliwie.

— Ale powiedz mi mój Dantesie, — zapytał właściciel, — gdybyś został kapitanem okrętu, czy zatrzymałbyś chętnie Danglarsa!

— Czy jako kapitan, czy jako porucznik, umiałbym szanować każdego, który się szczyci zaufaniem swych panów.

— No, dosyć już tego mój Dantesie, widzę, żeś pod każdym względem tęgi chłopiec. Nie zatrzymuję cię dłużej, idź sobie, bo widzę, że stoisz jak na szpilkach.

— Do widzenia panie Morrel, przyjmij raz jeszcze moje podziękowanie.

— Do widzenia, mój Edmundzie; życzę ci szczęścia.

Marynarz wskoczył do łodzi, siadł na przodzie, i rozkazał skierować ją do Cannebiere. Dwaj majtkowe rzucili się natychmiast do wioseł i szybko wsunęli się pomiędzy dwa szeregi okrętów śród tysiąca statków wązkim przesmykiem prowadzącym do nadbrzeża portu Orleans.

Morrel z uśmiechem na ustach, odprowadził go oczyma aż do brzegu; widział jeszcze jak wyskoczył na brzeg i znikł natychmiast w różnobarwnym tłumie, który od piątej zrana, do dziewiątej wieczór zalega jak mrowie tę sławną ulicę Cannebiere, a z której tak są dumni dzisiejsi Marsylianie, że z najzimniejszą krwią i największą pewnością charakteryzującą ich wybornie, powiadają: „że gdyby Paryż miał ulicę Cannebiere, mógłby się nazwać małą Marsylią“.

Właściciel statku odwróciwszy się, spostrzegł Danglars'a, który z pozoru zdawał się oczekiwać na jego rozkazy, lecz w rzeczy samej śledził również młodego marynarza.

Wielka jednak była różnica w wyrazie wzroku tych dwóch ludzi, śledzących jednego człowieka.

Ojciec i syn.

Niechaj tymczasem Danglars wysila swój geniusz zawiści; nie będziemy słuchali jego złośliwych podszeptów, których jedynym celem było zgubić zacnego towarzysza, a udajmy się za Dantes'em. Już przeleciał całą ulicę Cannebiere i wpadł na Noailles do małego domu po lewej stronie alei Meillan; przebiegł szybko cztery piętra po ciemnych schodach, i jedną ręką trzymając się za poręcz, a drugą tłumiąc uderzenia serca, stanął przed uchylonemi drzwiami, tak, że można było zajrzeć w głąb małego pokoiku.

W tym pokoiku mieszkał ojciec Dantes'a.

Jeszcze wiadomość o przybyciu „Faraona“ nie doszła do starca, który drżącą ręką rozpinał u okna roślinę nasturcyi.

Wtem uczuł, że go ktoś wpół ujął i znajomy mu głos odezwał się z tyłu:

— Ojcze, ojcze, mój drogi!

Starzec krzyknął i zwrócił się nagle, a zobaczywszy syna, rzucił się w jego objęcia drżący i blady.

— Co ci mój ojcze? — zawołał młodzieniec strwożony; — czyś nie chory?

— Nie, nie, mój kochany Edmundzie, synu mój, dziecię moje; nie spodziewałem się ciebie widzieć teraz... Ah! Boże wielki, zdaje mi się, że umrę...

— Ależ zastanów się mój ojcze, przyjdź do siebie, to ja, syn twój. Mówią zazwyczaj, że radość nikomu i nigdy zaszkodzić nie może, dlatego wszedłem tu tak nagle, ne uprzedziwszy cię pierwej. No, drogi ojcze, rozwesel się, a nie przyglądaj mi się tak wzrokiem obłąkanym. Powracam, abyśmy żyli razem szczęśliwi.

— Dobrze, dobrze, mój chłopcze — odpowiedział starzec. — Czy mnie jednak nie zwodzisz? czy będziemy szczęśliwi? nie opuścisz mnie już? powiedz, jakie będzie to szczęście?

— Oby mi Bóg przebaczył, że się cieszę szczęściem, okupionem żałobą innej rodziny, ale ten sam Bóg mi świadkiem, żem nie pragnął tego szczęścia. Samo przyszło i nie mogę go odtrącać. Waleczny kapitan Leclerc umarł; być może, że za wstawieniem się pana Morrel, obejmę jego miejsce... w 20 roku życia kapitanem! sto luidorów gaży i udział w dochodach. Czy mogłem kiedykolwiek spodziewać się takiego losu?

— Prawda, mój synu, prawda, — rzekł starzec, — to rzeczywiście wielki los.

— Chciałbym za pierwsze pieniądze, które odbiorę, urządzić ci mały domek z ogródkiem, żebyś sobie sadził swoje ulubione kwiaty. Ale cóż ci jest mój ojcze? wyglądasz, jakbyś był chory?

— Bądź spokojny, mój synu, to przejdzie.

Siły zaczęły opuszczać starca; potoczył się wtył.

— Napij się, napij, szklankę wina, to cię pokrzepi. Gdzież chowasz wino mój ojcze?

— Dziękuję ci, nie szukaj, nie chcę — odpowiedział starzec, usiłując powstrzymać syna.

— Pozwól mój ojcze, pokaż tylko gdze jest.

I zaczął otwierać szafy.

— Próżno szukasz moje dziecko, nie ma tam wina wcale.

— Jakto? nie masz wina? — zawołał Dantes blednąc i wpatrując się w zapadłe policzki ojca i próżną szafę, — czyż ci brakło pieniędzy mój ojcze?

— Nic, nic mi nie brakuje, mam wszystko, bo mam ciebie, mój synu.

— Przecież zostawiłem ci ojcze 200 franków odjeżdżając stąd przed trzema miesiącami — wyrzekł młodzieniec, ocierając pot z czoła.

— Tak jest, Edmundzie, to prawda. Zapomniałeś jednak odjeżdżając zapłacić małego długu sąsiadowi Caderousse: on się upominał, grożąc, że jeśli nie zapłacę za ciebie, uda się do pana Morrel, aby mu zapłacił: pojmujesz więc, że z obawy, aby ci to nie szkodziło, zapłaciłem, cóżem miał zrobić? powiedz.

— Ah mój Boże, byłem mu winien 140 franków, — zawołał Dantes, — a tyś, mając wszystkiego 200 franków, oddał 140

Starzec skinął głową na znak potwierdzenia.

— Tym sposobem, za 60 franków żyłeś przez trzy miesiące.

— Wszak wiesz, jak mało mi potrzeba.

— Ah Boże! Boże! ojcze daruj mi, przebacz, — zawołał Dantes, rzucając się do nóg ojca.

— Cóż robisz?

— Ah! rozdarłeś mi serce.

— Wszystko już przeszło, jesteś przy mnie i ze mną, — rzekł starzec, uśmiechając się łagodnie, — teraz możemy o tem zapomnieć, bośmy szczęśliwi.

— Tak, jestem przy tobie, jestem przy tobie, piękna przyszłość mi się uśmecha i pieniędzy jest dosyć. Masz ojcze, masz, weź i poszlij, niech ci natychmiast co przyniosą.

To mówiąc, wysypał na stół z kieszeni dwanaście sztuk złota, sześć sztuk pęcio-frankowych, i trochę drobnej monety.

Twarz starca prybrała wyraz ponury.

— Dla kogoż to? — rzekł.

— Dla mnie, dla ciebie, dla nas wszystkich. Weź, każ kupić zaraz, czego potrzeba, bądź szczęśliwy, jutro dostaniemy więcej.

— Zwolna, zwolna, — rzekł starzec, i łagodny uśmiech ukazał się na jego ustach; za pozwoleniem, muszę oszczędnie obchodzć się z twoją kiesą. Gdyby się dowiedziano, że tak wiele mam pieniędzy, powiedzianoby niezawodnie, żem aż na ciebie czekał z kupnem nim przyjedziesz.

— Rób więc jak chcesz ojcze. Przedewszystkiem jednak przyjmij sobie służącego, proszę cię o to. Nie chce, abyś tu sam tak żył i męczył się. Mam trochę kontrabandowej kawy i wybornego tytoniu w skrzyni na spodzie okrętu; jutro ci przyniosę. A, ktoś nadchodzi...

— To Caderousse, musiał się już dowiedzieć, żeś przyjechał i przychodzi niezawodnie powitać cię.

— Zapewne, zobaczymy znowu rzecz zwykłą, jak to usta co innego mówią, a serce co innego czuje i życzy, mniejsza o to; wszak to nasz sąsiad, co nam pomógł w potrzebie, trzeba go dobrze przyjąć.

W rzeczy samej, kiedy Edmund kończył mówić ściszonym głosem, ukazał się we drzwiach sieni Caderousse zgarbiony, trzymając w ręku kawał sukna, które jako krawiec, z powołania skroił na klapy do żakietu.

— Wróciłeś przecież Edmundzie? — zawołał akcentem czysto marsylskim, otwierając szeroko usta do uśmiechu, z których wyglądały zęby białe jak z kości słoniowej.

— Jak widzisz, przybyłem, panie sąsiedzie, i gotów jestem ci służyć w czem rozkażesz, — rzekł Dantes niezręcznie ukrywając oziębłość w wyrazach uprzejmości.

— Dziękuję, dziękuję ci bardzo. Chwała Bogu, nic nie potrzebuję od nikogo, kto inny może czasem potrzebować czegoś ode mnie. Nie mówię tego do ciebie, mój kawalerze; pożyczyłem ci pieniądze, tyś mi je oddał; to się zdarza między dobrymi znajomymi.

— Nie możemy nigdy wypłacić się zupełnie tym, którzy nam przysługę wyświadczają, bo jeśliśmy przestali być im dłużni, to jeszcze należy się od nas wdzięczność.

— Co tu o tem gadać? Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr. Ot pomówmy lepiej o twej podróży. Poszedłem oto sobie do portu, jak zwykle dla zaopatrzenia się w sukno, wtem spotykam przyjaciela Danglarsa. A ty tu co robisz? w Marsylii? — pytam. — Ot tak, jak widzisz, odpowiedział mi. — Myślałem, żeś ty w Smirnie? Dobrześ myślał, właśnie stamtąd wracam. A gdzie nasz młody Edmundek? Naturalnie musi być u ojca, — odpowiedział Danglars. — Przyszedłem więc natychmiast, aby uścisnąć rękę dobrego przyjaciela.

— Poczciwy Caderousse! — rzekł starzec, — jak on nas kocha?

— Niezawodnie, że was kocham, a co więcej, szanuję, bo teraz trudno o poczciwych ludzi... Hm! widzę, żeś powrócił bogaty, chłopcze, — mówił dalej krawiec spoglądając ciekawie i chciwie na garść złota i papiery rozrzucone na stole. (C. d. n.)

Pieniężne kłopoty Dumasa.

Aleksander Dumas, słynny pisarz francuski, autor ukazującej się w naszem piśmie powieści „Monte Christo“, znanym był z tego, że jak wielu jego kolegów po piórze — cierpiał na chroniczne „suchoty kieszeni“. Kiedy ukończył jedną ze swych najlepszych sztuk „Keana“, sprzedał ją dyrektorowi teatru „Fauboug“ w Paryżu pod warunkiem, że otrzyma jako honoraryum 2000 franków, jeśli w przeciągu trzydziestu przedstawień sprzeda się biletów za 60.000 franków. Dumas był bardzo zadowolony z tego układu i cieszył się niezmiernie myślą o tej chwili, kiedy dostanie do ręki tę sporą jak na owe czasy, sumę. Po dwudziestu dziewięciu przedstawieniach, sprzedano biletów za 59.993 franków. Dumas pełen różowych nadziei, udał się następnego wieczoru do teatru, aby podjąć swoje honoraryum. Dyrektor przyjął go smutną wiadomością, że do oznaczonej sumy brakuje jeszcze siedmiu franków — zatem umowa przez to zostaje unieważnioną i autor nie może otrzymać pieniędzy.

Dumas zrobił smutną minę i poprosił dyrektora, by mu zechciał pożyczyć 20 franków, albowiem nie ma już ani grosza przy sobie! Dyrektor spełnił jego życzenie.

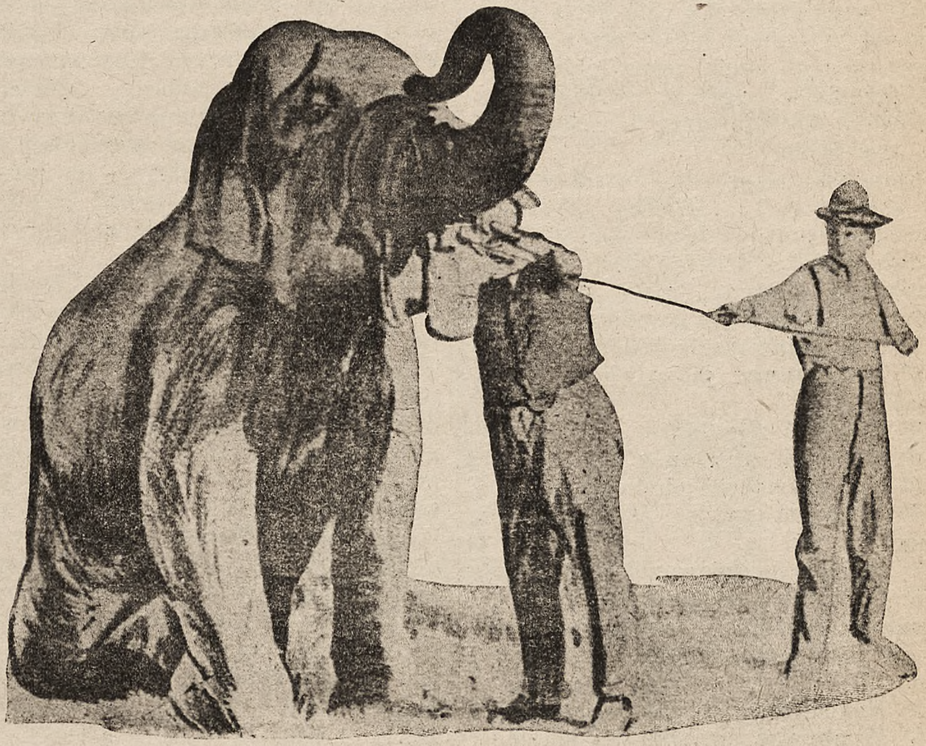
Dumas otrzymawszy pieniądze, zużytkował je w sposób, o jakim się panu dyrektorowi zapewne nie śniło... Poszedł mianowicie do kasy teatralnej i kupił dwa bilety po 4 franki i w ten sposób zaokrąglił sumę dochodu do wymaganej wysokości. Uczyniwszy to, powrócił do dyrektora z tryumfującym uśmiechem:

— Panie dyrektorze! proszę o moje 2.000 franków!...

Nic nie pomogło... Musiał pan dyrektor wypłacić honoraryum, z którego Dumas oddał mu zaraz pożyczone przed chwilą 20 franków.

Słoń u dentysty.

Albert jest to miano pewnego słonia znajdującego się w paryskim ogrodzie zoologicznym. Jest to zwierzę tak mądre, że brakuje mu tylko mowy...



Arblet u dentysty.

Dozorcy spostrzegli pewnego dnia, że Albert nie chce jeść i że nie śpi wcale i podobno nawet wielkie łzy płynęły z jego małych oczu. Zaniepokojeni nie wiedząc, co o tem myśleć, zawezwali weterynarza, którego Albert przyjął w ten sposób, że otworzył szeroko swą paszczękę... Dokładne zbadanie wykazało, że jeden z olbrzymich kłów psuje się... Słoń cierpi na ból zęba!... A zatem prędko po dentystę!

Oczywiście o plombowaniu ani o zatruciu nie było mowy, nie pozostawało zatem nic innego, jak tylko wyrwanie psującego się zęba. Wstrzyknięto więc pokaźną dozę kokainy w dziąsło słonia (Albert poddał się tej operacyi ze zdumiewającą cierpliwością, usiłując nawet podniesieniem odpowiedniem trąby ułatwić to zadanie) dentysta ścisnął ząb w kleszczach, do których przymocował grubą linę, poczem przy pomocy kilku silnych chłopów zdołano wyrwać bolący kieł...

Albert po ukończeniu operacyi, okazał wielkie zadowolenie.

Małżeństwo drożeje...

W Anglii, jak donoszą pisma tamtejsze, dwa miliony dziewcząt napróżno oczekuje na mężów, nudząc się, schnąc i gorzkniejąc w panieństwie. Głównym powodem tego masowego staropanieństwa, ma być drożyzna, która uniemożliwia prawie zawierania związków małżeńskich. Jedno z pism angielskich zestawiło taki „rachunek kosztów miłości“.

A zatem: naprzód w okresie starania się o względy wybranej, konieczne są jakieś drobne podarki, cukierki w efektownem pudełku, kwiaty — owe posłanniczki serca, książki i t. p. W obecnych czasach, takie prezenty pochłaniają sumy!... Czasem trzeba iść z ukochaną do teatru lub do kina... Przy podwyższonych cenach miejsc — to wcale nie bagatela!...

Potem koszt pierścionków zaręczynowych i obrączek ślubnych... wszak te nieodzowne rekwizyty małżeństwa podrożały o 75%...

A to jeszcze drobnostka w porównaniu z trudnościami i kolosalnymi wydatkami przy urządzaniu choćby najskromniejszego mieszkania... Przedewszystkiem wyszukanie jakiegokolwiek mieszkania, należy raczej do krainy fantazyi, niż do rzeczywistości... skoro jednak, jakaś młoda para, ma na tyle szczęścia, że znajdzie sobie schronienie — to wówczas nasuwa się kwestya: jak to mieszkanie urządzić, żeby choć łóżka, mebel niezbędnie konieczny w małżeństwie, stół, szafa, parę stołków, jakie takie urządzenie kuchenne — to i tak trzeba sum, za które dawniej można było kupić kamienicę.

A cóż dopiero, kiedy się pomyśli o służącej, o praczce, o mleku, które tak niesłychanie podrożało — o trudach i przeciwnościach w prowadzeniu gospodarstwa domowego!... Najodważniejszemu odchodzi ochota do wstępowania w związki małżeńskie i dlatego to tyle panien wzdycha daremnie do własnego ogniska domowego...

Jak sobie przedłużyć życie?

Dziesięć przykazań hygieny.

Mało, niezmiernie mało jest takich ludzi, którzyby nie pragnęli przedłużyć sobie życia. Chociażby ono ciężkiem było, pełnem braków, przykrości i smutków, to i tak nadzieja na lepszą przyszłość wabi człowieka i do życia przywiązuje. A jednak ludzie przez nieodpowiedni tryb życia, przez lekceważenie przepisów hygieny, niszczą sobie zdrowie i skracają przez to własnowolnie swe życie.

Francuski uczony dr. Lorand w swojej książce p. t.: „Dziesięć głównych powodów przedwczesnej śmierci“ — podaje niejako dziesięć kardynalnych przykazań hygieny, przez spełnianie których można sobie przedłużyć życie:

1º Nie oddawać się rozpuście.
2º Zachowywać jaknajwiększą czystość.
3º Nie jeść zbyt dużo.
4º Nie palić tytoniu.
5º Nie używać alkoholu.
6º Wstawać razem ze wschodem słońca.
7º Strzedz się gniewnych wybuchów.
8º Obcować z przyrodą jaknajwięcej, a jeśli to utrudnione, jak np. w mieście, to odbywać przynajmniej długie przechadzki.
9º Myć się zawsze tylko zimną wodą.
10º Wyzbywać się zbytniej ambicyi, bo to denerwuje i często wywołuje chorobliwe objawy.

Najstarszy człowiek na świecie.

Do niedawna sądzono, że najstarszym człowiekiem na świecie jest 131-letnim Joh Shell z Tennessee w Ameryce, który każdemu, kto chce tylko słuchać drżącym, lecz jeszcze wyraźnym głosem, opowiada, że przez całe swe życie palił dużo, pił jeszcze więcej i był wielkim przyjacielem kobiet i że jednakowoż żadna z tych namiętności nie wpłynęła na skrócenie mu dni żywota[1]). Mr. Shell stosunkowo, jak na swój wielce podeszły wiek, wygląda wcale nieźle. Wprawdzie twarz przypomina suszone jabłko, a ręce drżą silnie, ale małe, wypłowiałe oczy tego Matuzala z za oceanu spoglądają bystro i rozumnie... Odbywa on jeszcze codziennie przechadzki, pali swą fajeczkę, a niekiedy ze smakiem wypróżnia szklankę wina.

Teraz jednak okazuje się, że John Shell nie jest najstarszym człowiekiem na świecie. Rekord pod względem ilości lat, wziął niejaki Zorro, robotnik turecki w Kostantynopolu, liczący obecnie 144 lat. Major Road, człowiek angielskiej misyi, w stolicy Turcyi, miał sposobność rozmawiania z tym niezwykle starym człowiekiem i o wrażeniach swej rozmowy opowiada w angielskiem piśmie „Daily News“. Zorro, pomimo swych 144 lat, nie tylko chodzi jeszcze, ale o dziwo! pracuje dotychczas w Arsenale, gdzie także zajęci są jego synowie, wnukowie i prawnukowie...

Przy wejściu angielskiego oficera, turecki Matuzal podniósł się z uszanowaniem, przyłożył rękę do czoła i poprosił majora, aby zechciał wypić filiżankę kawy. W czasie rozmowy powiedział, że nie używał nigdy tytoniu i zachowując ściśle przepisy Koranu wina, nie miał w ustach... Za to pił ogromne ilości czarnej kawy, która mu absolutnie nie szkodziła, chociaż czasem wychylał 20 do 30 filiżanek tego narkotycznego napoju. Przez całe życie pracował ciężko i jeszcze teraz nie może zaznać spoczynku... Pragnąłby już porzucić pracę w Arsenale, bo czasem wieczorem czuje, że stare kości wypowiadają posłuszeństwo, a rano trudno mu wstać z ciepłego łóżka.

Starzec opowiedział cały szereg interesujących wydarzeń z czasów swej służby wojskowej i z dumą pokazywał niedole, zdobyte w walkach koło Sebastopola... Łzy zalśniły w jego oczach, kiedy wspominał te czasy...

Krewni starego Zorra, oświadczyli, że pamięta on mnóstwo drobnych nawet szczegółów z przed wielu, wielu lat i że zachował świeżość umysłu, która budzi wprost zdumienie...

[1]) Przykład mr. Shelle zaprzecza niejako teoryi francuskiego uczonego dr. Loranda, którego „Dziesięć przykazań hygieny“ przytaczamy powyżej. Dr. Lorand oświadczyłby jednak zapewne, że jeżeli mr. Shell, pijąc, paląc i będąc wielkim przyjacielem kobiet, dożył wieku 131 lat, to jakżeż wielkiej ilości lat doczekałby się, gdyby zachowywał przykazanie wstrzemięźliwości dr. Loranda.

Przygoda dentysty.

Dentysta, to urzędnik między lekarzami.

Przyjmuje w swem biurze w dnie powszednie od 9—12 i od 3—6. — Pilniejszy pracuje do drugiej, a popołudniu do siódmej. W niedziele i święta odpowiednie mniej. Zresztą jest wolny. Nie wzywają go do porodów, ataków apoplektycznych i samobójców. Chroniony jest od stykania się z tyfusem plamistym, hiszpanką, szkarlatyną, czerwonką i cholerą. Nikt nie waży przerwać mu snu nocnego ani choćby drzemki poobiedniej.

Nawet i w dzień nie wzywają go do pacyentów. Kto go potrzebuje, musi go odwiedzić w biurze. Nikt nie widział chyba dentysty śpieszącego do pacyenta z aparatem wiertniczym pod pachą.

W lecie wyjeżdża z żoną, potomstwem i panną od dzieci do kąpiel, ordynuje w miejscu kuracyjnem, odbija koszta podróży, pobytu i toalet żony, a nadto czeka go za powrotem pokaźna sumka zarobiona przez technika. Boć mimo nieobecności, zakład funkcyonował bez przerwy.

Podobnie jednak, jak róża kolce, małżeństwo teściowe, a właściciele realności ustawę o ochronie lokatorów — tak też i zawód dentystów ma swoje ciemne strony. Jako dowód opowiem historyę najprawdziwszą, która się wydarzyła memu przyjacielowi. Nazwiska dentysty nie wymieniam, gdyż nie lubię robić znajomym reklamy. Niech umieszczają inseraty. Prócz zapłaty nie przyjmuje za nie redakcya i tak żadnej odpowiedzialności.

Dentysta bohater mej historyi „wyordynował wszystkich pacyentów, prócz ostatniej, starszej niewiasty. Ta zmordowana całonocnym bólem zębów znalazła obecnie w poczekalni ukojenie na ból i zdrzemnęła się na dobre, bo w poczekalni dentysty ustaje zwykle ból zębów.

Dentysta automatycznie, jak zwyczajnie to czyni, otworzył drzwi do poczekalni, a gdy na jego delikatne wezwanie „proszę!“ nikt się nie ruszył — opuścił szybko pracownię.

Pacyentka została sama.

Spała tak do północy. Silny ból zębów zbudził ją. Poczęła błądzić po pokoju.

Dentysta marzył właśnie o posagu narzeczonej i bezdzietnej jej ciotce. Ze słodkiego snu wyrwał go podejrzany szmer. Domyślił się odrazu włamywaczy.

Wydobył z pod poduszki zardzewiały rewolwer.

— Stój! Bo strzelam!... — krzyknął.

Więcej nie trzeba było oszalałej ze strachu i bolu pacyentce. Poczęła na cały głos wrzeszczeć. Pierwszy raz w życiu widziała przed sobą dentystę tak całkiem biało ubranego.

Historya się wyjaśniła.

Biedny dentysta zabrał się o pierwszej w nocy do... „plombowania zębów“.

A nic go w tej całej historyi tak nie bolało, jak to, że pacyentka miała blisko 70 lat.

Przy telefonie.

— Pana Letourneur wołają do telefonu!

Młody człowiek, piszący przy biurku, zerwał się i dość niechętnie udał się do pokoiku, gdzie umieszczony był telefon.

— Halo! Halo! — odezwał się melodyjny głos kobiecy. — Czy pan Letourneur?

— Tak, to ja, z kim mam zaszczyt?

— Tu pani de Pompadour! Chciałam podziękować panu za łaskawe względy i powiedzieć panu, że odtąd będę...

Ale Letourneur, wściekły, zawiesił aparat, sądził bowiem, że osoba przy telefonie była albo waryatką, albo chciała go wziąć na kawał. Dopiero, gdy napowrót usiadł przy biurku, przyszło mu na myśl, że mogłaby stąd wyniknąć bajeczna awantura.

Henryk Letourneur był młodym poetą, mało znanym jeszcze i wcale niezamożnym, tak, iż musiał pracować na swe utrzymanie, jako skromny urzędnik w jednem z biur ministerstwa oświaty. Niedawno właśnie wyjął tomik poezyi, pod tytułem: „Pod białym parasolem“; w szeregu sonetów opisał w przesadnej nieco formie swe uczucia uwielbienia dla pięknych kobiet dawno minionej przeszłości.

Czyż to możliwe, że ten tomik, wcale jeszcze nie mający rozgłosu, wpadł w oczy jakiejś czytelniczce i obudził w niej zachwyt?

Wnet jednak otrzeźwiał i powiedział sobie, że to z pewnością jego koledzy, albo i panna Sabina od maszyny chcą mu wypłatać figla, wystrzegał się zatem, aby nie zdradzić się ani słowem. Nazajutrz zapomniał już o tem zajściu, ale trzeciego dnia zawołano go znowu do telefonu. Tym razem Henryk Letourneur był już nieco zdenerwowany, biorąc słuchawkę.

Tajemniczy głos mówił:

— Jestem królową Nitagrit. Mówię do pana z nad brzegów Nilu. Trzy palmy chwieją się koronami swemi nademną. Czuję się dumną, że nie zamarłam jeszcze w pamięci ludzkiej, skoro Paryżanin w dwudziestym wieku pamiętał o mnie i raczył cienie moje obdarzyć uczuciem niemal, że miłosnem!

— Królowo, zawołał zachwycony poeta, — nie maszli na ziemi jeszcze innego nazwiska?

Mówię panu przecie, że jestem królową Nitagrit, wdową po królu Mentesoufisie z dynastyi szóstej.

— Gdzie mieszkasz, o pani?

— Wiesz przecie. W piramidzie Gizeh, we wnętrzu sarkofagu z błękitnego bazaltu!

— Gdzie mógłbym widzieć panią?

— Spotkasz się ze mną później, gdy sam zjawisz się przed trybunałem Osirisa w sali Prawdy i Sprawiedliwości!

Mimowoli przedstawiał ją sobie jako księżniczkę egipską, smukłą, o ciemnej cerze, z małym noskiem i podłużnemi, nawpół otwartemi oczyma, z wyrazem tęsknoty i melancholii.

Wieczorem błądził długo ulicami, owiany tchnieniem wiosennem, pełen myśli radosnych i uroczych przeczuć. Wyobrażał sobie cały szereg najpiękniejszych awantur miłosnych. W samotnem życiu ubogiego i nieśmiałego młodzieńca, zdanie to wyglądało prawie na bajkę.

„Pani de Pompadour! Nitagrit!“ — powtarzał wciąż w myśli. „Jakże piękną być musi kobieta, kryjąca się za tymi pięknemi widmami!“

Przez tydzień wyczekiwał daremnie na nowe wezwanie. Zrywał się i drżał przy każdem dzwonieniu. Wreszcie, gdy już prawie zwątpił, nieznajoma zgłosiła się.

Odtąd dwa lub trzy razy w tygodniu nieznajoma składała młodemu poecie swą wokalną wizytę, przedstawiając mu się to jako Salome Lukrecia Borgia, Julia de Lexpinasse, to jako księżniczka Lamballe. A przy każdem z tych nazwisk przytaczała szczegóły historyczne, które świadczyły, jeśli nie o głębokiej erudycyi, to przynajmniej o wielkiem oczytaniu i zrozumieniu.

Kilkrakrotnie błagał ją, ażeby mu przynajmniej posłała swój portret, skoro nie chce dać mu się poznać osobiście. Przyrzekła mu, że to uczyni i w trzy dni później otrzymał pocztą dużą fotografię „Mistress Siddons“, malarza angielskiego Ganisborough. Wyobrażał więc sobie biedny poeta, że wybrała ten znany portret, ponieważ zapewne widzi w nim podobieństwo z własnymi rysami.

Henryk Letourneur zakochał się w swej nieznajomej. Czekał, drżąc cały, na chwilę, kiedy wezwie go do telefonu; marzył o tem, by ją spotkać nareszcie i mówić z nią. Jak wyglądała?

Mijały miesiące — wszelkie prośby i błagania młodzieńca były bezskuteczne; pożerała go tęsknota, pochłaniało go szaleństwo tej miłości bez wyjścia.

Pewnego dnia, gdy z kilku znajomymi literatami siedział w kawiarni, jeden z nich odezwał się nagle:



— Królowo! — zawołał zachwycony poeta

— Wyobraźcie sobie, że wczoraj przy telefonie słyszałem całkiem oryginalną rozmowę. Byłem na giełdzie i rozmawiałem telefonem z moją narzeczoną; wtem za ścianką, przy sąsiednim telefonie, jakiś głos kobiecy mówił: „Dziś wzywa cię Marya Stuart. Kochanek mój Chastelard umarł z mej winy i chcę się pocieszyć z tobą, o mój ty piękny, żywy kochanku!“ — Nie wiedziałem sam, czy to sen, czy majaczenie i ukryłem się, by ujrzeć wychodzącą Maryę Stuart.

— I ujrzałeś młodą kobietę, bardzo piękną i dumną, jak królowa?“ — przerwał mu Letourneur, drżący ze wzruszenia, niepokoju i miłości.

Młody literat wybuchnął szczerym śmiechem:

— Ujrzałem małą staruszkę, zgarbioną z białemi włosami, w wyszarzałym płaszczyku. Wyglądała na biedną nauczycielkę...

I dodał, nie widząc rozczarowanej miny swego przyjaciela:

— Zapewne, jakaś waryatka!

Edmund Jaloux.

ARTUR CONAN-DOYLE.

Widmo przeszłości.

3 (Ciąg dalszy).

Przy bramie stał wysoki kocz; koń skubał trawę rosnącą na brzegu drogi.

— Ależ ja go doskonale znam — zawołał Jamson, — obejrzawszy pusty ekwipaż. — To powóz mr. Mac-Neyle'a, rządcy z Wichtowne, tego samego, który ma klucze od zamku.

— Kiedyśmy tu przyszli, możemy z nim pomówić, — odpowiedziałem. — O ile się nie mylę, schodzą właśnie na dół.

W tej chwili usłyszeliśmy skrzypnięcie ciężkich drzwi, a w jakiś czas potem zjawiły się dwie postacie, jedna wysoka, chuda i koścista, druga zaś mała i gruba; zbliżały się one do nas w ciemności. Ludzie ci rozmawiali z takiem ożywieniem, iż spostrzegli nas dopiero znalazłszy się za bramą.

— Dobry wieczór mr. Mac-Neyle, — rzekłem zwracając się do rządcy, którego znałem z widzenia.

Mały człowieczek zwrócił się ku mnie, co było dowodem, iż nie pomyliłem się w adresie; wysoki towarzysz odskoczył w tył z oznakami silnego wzburzenia.

— Co to jest, Mac-Neyle, — zawołał głosem drżącym i przerywanym. — Tak to pan spełniasz swoje obietnice? Co to ma znaczyć?

— Nie przestraszaj się pan, generale, nie przestraszaj, — rzekł mały, gruby rządca, tym uspakajającym tonem, jakim się przemawia do przestraszonych dzieci. — To młody mr. Fetterjeal West z Brinksome, jakkolwiek w żaden sposób nie mogę zrozumieć, co go skłoniło przyjść tutaj i to o tej porze. Ale, że będziecie panowie sąsiadami, korzystam ze sposobności, aby panów ze sobą zapoznać. Mr. West, — oto generał Levis, który zamierza wynająć Cloomber-Hall.

Wyciągnąłem rękę do wysokiego człowieka, który podał mi swoją niezdecydowanie i jakby bez chęci.

— Przyszedłem tu, — odezwałem się, — dojrzałem bowiem z morza światło w oknach i wyobraziłem sobie, że zaszedł tutaj jakiś wypadek. Bardzo się cieszę, że postąpiłem tak, gdyż dało mi to sposobność poznania się z generałem.

Mówiąc to, zauważyłem, że nowy mieszkaniec Cloomber'u przyglądał mi się w ciemnościach nader uważnie. Gdy zamilkłem, generał wyciągnął swą długą, drżącą rękę i zwrócił w moją stronę latarnię powozową. Nagle potok jasnego światła padł prosto na moją twarz.

— Wielki Boże, Mac-Neyle, — zawołał tym samym drżącym głosem. — ten młody człowiek twarz ma ciemną, jakby z czekolady. On nie jest anglikiem, sir?

— Z urodzenia i wychowania jestem szkotem, — odpowiedziałem, powstrzymując się ze wszystkich sił od śmiechu.

— Szkot? aha, — rzekł generał z westchnieniem ulgi.

— W obecnych czasach, to wszystko jedno. Wybacz pan, mr... mr. West. Jestem nerwowy, szalenie nerwowy. Jedźmy, Mac-Neyle. Powinniśmy być w Wichtowne nie później jak za godzinę. Do miłego widzenia, dobranoc.

Siedli w kocz; gruby rządca trzasnął z bicza i wysoki ekwipaż zaturkotał w ciemności, rozlewając jasny blask żółtych promieni po obu stronach drogi, aż w końcu wszystko w oddali umilkło.

— Co powiecie o naszym nowym sąsiedzie, Jamson? — zapytałem swego towarzysza, przerywając długie milczenie.

— Zdaje mi się, mr. West, że jest on rzeczywiście niezwykle nerwowy, a może jego sumienie niezupełnie jest w porządku.

— Raczej wątroba — zauważyłem. — To widoczne, że organizm jego jest rozstrojony. Ale robi się zimno. Jamson, obu nam czas do domu.

— Pożegnałem się z rybakiem i poszedłem w stronę wesołego i jasnego światła, bijącego z okien naszej bawialni w Brinksome.

III.

Jak zaznajomiłem się bliżej z generał-majorem Levisem.

Łatwo sobie wyobrazić, do jakiego stopnia niespodziewana wiadomość o wynajęciu i zamieszkaniu Cloomber-Hall'u poruszyła ciekawość bliższej i dalszej okolicy; przez długi czas krążyły najcudaczniejsze wieści o nowym mieszkańcu i o przyczynach, dla których wybrał on na stały pobyt właśnie tę samotną i posępną część hrabstwa.

Wkrótce jasnem było dla wszystkich, że generał i jego rodzina zamieszkali w Cloomber-Hall na czas dłuższy; dom gruntownie restaurowano z wielkim nakładem, a gdy roboty ukończono, niktby nie poznał dawnego ciemnego i ponurego budynku. Wyglądał, jak nowy.

Kto wie, może generał poświęca się nauce, — rzekł do mnie ojciec, gdyśmy pewnego razu rozmawiali o Levis'ie, — może wybrał to ustronie, by módz pracować w ciszy i spokoju.

— Być może, że ojciec ma słuszność — odpowiedziałem, — ale podczas naszego pierwszego spotkania wydało mi się, że generał nie wygląda na człowieka, posiadającego zamiłowanie do literatury, a tembardziej do nauk specyalnych. Sądziłbym raczej, że przyjechał tu dla zupełnego wypoczynku, aby leczyć się na nerwy. Jest niesłychanie rozstrojony; stan jego zdrowia, nawet przy tak krótkiem spotkaniu, dał mi wiele do myślenia.

— Czy ma żonę i dzieci? — zapytała Estera. — Biedni, jak oni będą tu osamotnieni. Oprócz nas przecież na siedm mil dokoła niema ani jednej rodziny, z którąby mogli zawiązać bliższą znajomość.

— Generał Levis, to dzielny i zasłużony żołnierz, — zauważył mój ojciec.

— Czy wiesz co o nim, ojcze? — zawołaliśmy równocześnie.

— Ach, moi drodzy, dużo się w życiu słyszało, — odparł ojciec z uśmiechem, biorąc z półki książkę i otwierając ją przed nami. — Oto spis oficerów armii indyjskiej, wydany przed trzema laty, a tu nazwisko tego pana, o którym mówimy. „Levis D. B., kawaler orderu, były pułkownik 41-go Bengalskiego pułku piechoty, przeszedł w stan spoczynku w randze generał-majora. Oblężenie Ghusni, obrona Dżelalabadu, 1848 r.; powstanie w Indyach i uśmierzenie Ouda. Pięć razy wspomniany w raportach“. Zdaje mi się, moi drodzy, iż możemy być dumni z naszego nowego sąsiada.

W dniu, w którym ukończone zostało odnowienie domu, wypadło mi pojechać do Wichtowne; po drodze spotkałem powóz, w którym jechał generał Levis i jego rodzina. Obok niego siedziała starsza już kobieta, o twarzy zmęczonej i schorowanej, przednie siedzenie zajmował młody człowiek, mniej więcej w moim wieku, oraz panienka, o dwa lub trzy lata młodsza od niego. Uchyliłem czapki i chciałem przejechać, nie zatrzymując się, generał wszakże kazał woźnicy przystanąć i wyciągnął do mnie rękę.

— Jak się pan ma, mr. Fatterjeal West, — zawołał.

— Muszę przeprosić pana za to, że byłem tego wieczoru nieco za ostry. Pan z pewnością wybaczy staremu żołnierzowi, który lepszą część życia spędził na wojnie. Tem nie mniej przyzna pan, że jak na szkota, jest pan nieco za ciemny.

— Mamy w sobie krew hiszpańską, odparłem niemało zdziwiony, że generał powraca znowu do tego przedmiotu.

— Ach, to zupełnie wyjaśnia ciemną barwę pańskiej twarzy, — rzekł uspokojony, a zwracając się do żony dodał: — Pozwól, droga żono, przedstawić sobie mr. Fallerjealla West. A oto mój syn i moja córka. Przyjechaliśmy tutaj odzyskać spokój, zupełny spokój.

(C, d. n.)

*

* * *

*

HUMOR i SATYRA.

Wynalazki.

Życie nasze krok po kroku
idzie ciężkie, smutne, łzawe,
ale też każdego roku
wynalazki są ciekawe.

Granaciki więc gazowe,
śmiercionośne są merzery,
różne łodzie motorowe,
tanki, czołgi, transportery.

Skoro więc ku ludzkiej frajdzie
ruch w technice nieustanny,
czemu — ach! — nikt nie wynajdzie,
żeby posag był... bez panny.

Z. O.

Nowy szał.

Polityka i golizna,
Spekulacya i drożyzna,
Aktualne wszystkie piły
Na plan dalszy ustąpiły,
Bo Warszawę w więzy mota
Szał fox-trotta.

Brzydka, ładna, młoda, stara,
Gdy nie chroma, aby jara,
I z high-lifu i z półświata,
Każda — biedna, czy bogata —
Niezmożona prze ochota
Do fox-trotta.

Gdzie tancbudy, kabarety,
„Familijne“ gabinety,
Gdzie stancyjki i salony —
Wszędzie brzmią fox-trotta tony!
I nie jedna pryska cnota
W takt fox-trotta...

Niesie wieść, że w takt fox-trotta
W ministerstwach wre robota,
Że nawet i w sanhendrynie,
Co z powagi wielkiej słynie,
Pisze się nie jedna nota
W takt fox-trotta!

rom.

W szpitalu.

— Ilu zmarłych dzisiaj? — zapytuje ordynator szpitalny swego asystenta.

— Dziewięciu.

— Zapisałem wczoraj, zdaje się, dziesięć recept.

— Tak, ale dziesiąty chory nie chciał brać lekarstwa.

* * *

W szkole.

— Odmieniaj mi rzeczownik kilogram!

— Ja kilogram, ty kilograsz, on kilogra...



W rok po ślubie...

Żona: Czy ty wierzysz w metampsychozę dusz?

Mąż: Naturalnie, że wierzę...

Żona: Nie? Doprawdy? Więc kimżeś był dawniej?

Mąż: Osłem.

Żona: Co? Nie? Kiedyż to było?

Mąż: Wtedy, gdym się o ciebie oświadczał...

Nasze dzieci.

— Dziaduniu, czy dziadunio ma zęby?

— Nie mam, moje dziecko; wszystkie mi już wypadły.

— Tak? To niech dziadzio potrzyma mi orzechy; ja tu zaraz powrócę.

* * *

Skrupulatny pacyent.

— Jak widzę, pigułki nie skutkują, musiałeś pan zażyć nie całe pudełko?

— Ależ, panie doktorze, wypełniłem przepis jak najakuratniej, dzisiaj zrana połknąłem nawet pokrywkę z etykietą!

* * *

Niebezpieczna choroba

— Cóż ci właściwie dolega?

— Życie.

— To niebezpieczna choroba, kończy się zawsze śmiercią.

W szkółce.

— Cynamonblut, powiedz mi, ile nóg ma chrabąszcz?

Mały Cynamonblut po dłuższym namyśle:

— Pan profesor niema większego zmartwienia?

Na wsi.

— Słuchajta, jak daleko do miasta?

— Dwie mile, ale jedźta tą drogą na lewo. Ujedziecie półtrzeciej mili i będziecie prędzej, bo przy tej drodze niema karczmy.

Odważny.

— Który człowiek jest najodważniejszy?

— Łysy.

— Dlaczego?

— Bo mu nigdy włosy na głowie nie powstaną ze strachu.

Redaktor odpowiedzialny: Marya Jadwiga Migowa. Wydawca: Wacław Grabiański.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie, ul. św. Tomasza 35.